



KAROLINA PAWŁOWSKA

redaktor wydania

Akcja „Wisła”, rozpoczęta o świcie 28 kwietnia 1947 r., trwała trzy miesiące. Ludność ukraińska zmuszana była do opuszczania swoich domów w ciągu kilkunastu godzin. Wysiedlone wsie rabowano, a następnie palono. – Nie ma większej krzywdy dla człowieka, niż pozbawienie go stron rodzinnych, zmuszenie do pozostawienia grobów rodziców i własnych świątyń, wysłanie w nieznaną, obce strony – mówią dzisiaj ci, których dotknęły skutki akcji. ■

ZA TYDZIEŃ

- PANORAMA PARAFII P.W. NIEPOKALANEGO PO CZĘCIA NAJSWIĘTSZEJ MARYI PANNY W KWAKOWIE
- DOWIEMY SIĘ, W JAKI SPOSÓB WYKUPIĆ MIESZKANIE NA WŁASNOŚĆ W ŚWIETLE NOWYCH PRZEPISÓW. I czy warto zrobić to teraz?

Zespół z Walcza ukraińskim repertuarem zaskoczył samych Ukraińców, a egzotyczne piękności z Tajwanu zachwyciły kołobrzezan i czasowiczów w ramach XVI Międzynarodowych Spotkań z Folklorem „Interfolk 2007”.

Na przegląd przyjechało sześć zespołów z Polski i z zagranicy.

Zespół Folklorystyczny „Arodafnosa” z regionu Nikozja z Cypru przedstawił typowy folklor południa Europy, gdzie w życiu przewodzą mężczyźni. I to właśnie oni popisali się tańcem. Brawa zebrali za balansowanie ustawionymi na głowie szklaneczkami z wodą. Cypryjka Helena została wyróżniona przez dziennikarzy i fotoreporterów upominkiem za wdzięk, grację i szyk. Tancerki chińskiego Zespołu Tańca Artystycznego z Tajwanu, najbardziej egzotycznej grupy tegorocznego „Interfolku”, wzbudziły podziw w tańcu z wachlarzami. Zespół Folklorystyczny „Vesely Gutsulyata” z regionu Halichyna na



KAROL SKIBA

Ukrainie działa od 30 lat przy szkole podstawowej w Kalush. – Niespodzianką jest dla nas spotkanie z Zespołem Folklorystycznym „Czeremcha” z Walcza. Śpiewają pięknie i mają w repertuarze wiele piosenek u nas na Ukrainie zapomnianych – mówią kierownicy zespołu. Mężczyźni z rosyjskiego zespołu „Kazbek” popisali się walką na miecze i sztylety. A po Mszy św. w bazylice dziewczęta zatańczyły taniec ku czci Trójcy Świętej. Niespodziankę przygoto-

Taniec zespołu z Tajwanu

wał ZPiT „Warszawianka”. Podczas inauguracji zaprezentował folklor miejski starej, przedwojennej Warszawy. Po raz drugi przy „Interfolku” odbył się Ogólnopolski Turniej Tańców Polskich „O Pieczęć Księcia Wacławia III”. W finale wszyscy uczestnicy „Interfolku” i Turnieju Tańców Polskich zatańczyli razem krakowianka. „Interfolkowi” towarzyszyła wystawa fotograficzna „Zielona i złota Ukraina” Danuty i Zygmunta Wysockich. **MARZENA BAMBER**

STREFA ZMILITARYZOWANA



KRZYSZTOF DEGA

Tysiące miłośników militariów zjechało do Bornego-Sulinowa na IV Międzynarodowy Zlot Pojazdów Militarnych. Odbywają się tu prezentacje sportów obronnych w wykonaniu grup rekonstrukcyjnych, zaś wojskowe pojazdy biorą udział w pokazach na torze przeszkód. – Od najmłodszych lat interesowałem się wojskiem. Na początku były żołnierzyki, później zabawa w wojsko – mówi Piotr z Grzmiącej koło Szczecinka. – To nasz sposób na życie. Stroje kupujemy, gdzie się da. Całkowity ubiór żołnierza amerykańskiego kosztuje nawet kilka tysięcy złotych. – dodaje Dariusz Matusiak. Na zlocie można

W Bornem-Sulinowie – jak za dawnych czasów – zasięki i czolgi na ulicach

było obejrzeć pojazdy polskie, niemieckie, angielskie i radzieckie. Pasjonaci mogli też kupić lub wymienić militarne gadżety. Zlot w jest największą tego typu imprezą w Polsce. **KD**

Kantata dla prałata

KOŁOBRZEG. W kołobrzesckiej konkatedrze odbyła się prapremiera utworu „Moc Przeznaczenia” Jana Maślankiewicza-Pogany z tekstem Magdaleny Gauer. Kantata na głos tenorowy, skrzypce i orkiestrę dedykowana jest ks. prałatowi Józefowi Słomskiemu. Inicjatywa napisania specjalnego utworu na Międzynarodowy Festiwal „Muzyka w Katedrze” wyszła od dyrektora MOK, Grażyny Chranowskiej. Pomysł przypadł do gustu kompozytorowi Janowi Maślankiewiczowi-Pogany. Urodzony w Kołobrzegu i uczuciowo związany z miastem powrócił tu po latach jako znany w świecie kompozytor, wiolonczelista i dyrygent. Przy tworzeniu nowego utworu współpracował z kołobrzeską polonistką, nauczyciel-

ką ZSO im. Mikołaja Kopernika, Magdaleną Gauer. Kompozytor jest pod wrażeniem osobowości księdza Słomskiego. – Jest to osoba, która tworzyła i tworzy historię Kołobrzegu. Ile trzeba było mieć zdolności, sił, by odbudować ze zgliszcz katedrę. Trzeba być architektem, artystą, a nawet menedżerem – stwierdza kompozytor. Tekst „Moc Przeznaczenia” powstał w języku polskim i dopiero później został przetłumaczony na język włoski, ponieważ kompozytor chciałby wykonywać ten utwór w różnych krajach. Podczas prawykonania utworu w kołobrzesckiej bazylisce wystąpili: solista Leo Garda, tenor (Monachium), Filip Jeska, skrzypce (Poznań) i Orkiestra Kameralna „Camerata” z Wrocławia, dyrygował Jan Maślankiewicz-Pogany.



Orkiestrę poprowadził sam kompozytor kantaty, Jan Maślankiewicz-Pogany

Uroczystości w sanktuarium

SKRZATUSZ. Także w diecezjalnym sanktuarium Matki Boskiej Bolesnej w Skrzatuszu przeżywano uroczystość Wniebowzięcia NMP. Wzięły w niej udział blisko dwa tysiące pielgrzymów. – Nasz odpust ma już ponadpięćsetletnią tradycję – mówił kustosz sanktuarium ks. Józef Słowik, witając pielgrzymów. Podczas odpustu bp Paweł Cieślak dokonał aktu Wierzenia Rodzin Opatrzności Bożej. Kazanie poświęcone było znakom czasu, jako znakom pochodzącym od Boga. – O znakach czasu mówił

już Jezus. Chciał w ten sposób przybliżyć nam Boga. Ważne jest, by trafnie odczytać te znaki i właściwie zrozumieć ich przesłanie. Mądry człowiek to taki, który umiejętnie zagłębia się w te znaki – mówił biskup. W uroczystej Sumie odpustowej brał także udział ks. prałat Romuald Kunicki z Wałcza. Odpust w Skrzatuszu rozpoczął się dzień wcześniej od Nieszporów ludownych, po których została odprawiona Msza św. z procesją eucharystyczną. Po niej odbyło się modlitewne czuwanie i Apel papieski.

Pszczelarze świętują 60-lecie



Waleccy pszczelarze po sześćdziesięciu latach mają swój sztandar

WAŁCZ. – Początki pszczelarstwa na naszych terenach to rok 1947 – mówi Walenty Pawłowski, prezes Koła Pszczelarzy w Wałczu. – Przyjechali ludzie ze Wschodu, przesiedleńcy, przywieźli ze sobą trochę pszczół. Z początku było 22 pszczelarzy, założono małe koło, które potem się rozrosło. Były lata, że było ponad 200 członków, teraz jest nas 120. W tym roku udało nam się sfinalizować sprawę własnego sztandaru, przeprowadzono kurs na pszczelarza zawodowego i mistrza pszczelarstwa. Wiele osób uzyskało dyplomy, mamy już pszczelarzy z uprawnieniami zawodowymi.

Na obchody jubileuszu zaproszono władze i mieszkańców powiatu i miasta, przybyli też pszczelarze z ponad 20 okolicznych kół. Uroczystości rozpoczęto Mszą św. w kościele pw. św. Antoniego, w której czasie poświęcono nowy sztandar. Następnie pszczelarze przemaszewali ulicami miasta na teren MOSiR-u, gdzie odbyły się dalsze uroczystości, były też okolicznościowe przemówienia i wykłady naukowe. Mieszkańcy miasta mogli podziwiać wystawy, ukazujące pracę pszczelarzy i kupić pyszne waleckie miody. Na zakończenie obchodów pszczelarze i zaproszeni goście bawili się na wieczorku tanecznym.

Radość w trzeźwości

KOCZAŁA. Nie potrzeba alkoholu, by doskonale się bawić. Dowiedli tego parafianie z Koczwały, organizując sierpniowy festyn, z którego całkowity dochód zostanie przeznaczony na dokończenie budowy kościoła filialnego w Bielsku. Do wspólnej zabawy zachęcały występy zespołów Testimonium, SafaGra z Koczwały i Koszalińska Kapela Podwórkowa Ireneusza Świętczaka. Organizatorzy przygotowali dla uczestników loterię fantową, aukcję oraz poczęstunek. Łączny dochód z festynu, który zasilił konto funduszu budowlanego, wyniósł 8698,37 zł. – Szczególne podziękowania należą się parafialnym organizacjom, władzom samorządowym i lokalnym instytucjom – Gminnej Komisji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych, ośrodkowi kultury, Zespołowi Kształcenia

i Wychowania oraz prywatnym sponsorom i wszystkim, którzy przyczynili się do zorganizowania imprezy – mówi proboszcz koczalskiej parafii, ks. Józef Oleski.



Trzeźwość i szczytny cel – to przepis mieszkańców Koczwały na dobrą zabawę



Po lewej: Rano nad Górą Chełmską pojawiły się deszczowe chmury, jednak bezpowrotnie przegonił je radosny śpiew pielgrzymów

Poniżej: Atmosfera Góry Chełmskiej sprzyjała przystępowaniu do sakramentu pojednania

Na dole po prawej: „Gość Niedzielny”, w którym zamieściliśmy pieśni na Eucharystię, zniknął błyskawicznie. Już po kilkudziesięciu minutach nie było po nim śladu

XII Diecezjalna Pielgrzymka Rodzin na Górę Chełmską

Boży znak jakości

Morze rodzinnej miłości, problemów i radości zanieśli diecezjanie Matce Bożej Trzykróć Przedziwnej.

Już po raz dwunasty w pielgrzymce na Chełmską Górę wzięli udział mieszkańcy naszej diecezji. Wspólnie odmówili Różaniec i wysłuchali świadectw rodzin, należących do Ruchu Szensztackiego. W samo południe bp Edward Dajczak odprawił Mszę św. Homilię wygłosił bp Wojciech Polak z Gniezna. Zwracając się do małżeństw, przypomniał, że budowanie wspól-

noty małżeńskiej i rodzinnej opartej na Bożej wizji oznacza panowanie w niej miłości,

wierności, zaufania i bezpieczeństwa. Podkreślił, że miłość małżeńska to miłość z najwyższym, Bożym, znakiem jakości. Dodał, że taka miłość jest wręcz zuchwała, bo okazuje się silniejsza od wszystkich ludzkich słabości, ograniczeń i rozczarowań.

Biskup Dajczak przekonywał, że nie ma piękniejszego daru, który ojciec mógłby dać dzieciom, nad miłość do ich mamy – i odwrotnie. Obiecał też, że będzie podtrzymywał tradycję pielgrzymowania rodzin na Górę Chełmską. – Zrobiję wszystko, co można, by ten ogień utrzymać, a nawet trochę do pieca podłożyć.

Po liturgii pielgrzymi bawili się na festynie rodzinnym. Niestety, nie wszystko się udało. Już o godzinie 11 zabrakło najnowszego wydania „Gościa Niedzielnego”. Za co chcielibyśmy serdecznie przeprosić naszych Czytelników i obiecać, że za rok taka sytuacja na pewno się nie powtórzy.

JULIA MARKOWSKA

Duzi i mali pielgrzymi zanieśli Matce Bożej Zielnej płody ziemi. Czasem nawet większe od nich samych



Są obywatelami Polski,
co nie przeszkadza,
by ich serce biło
„po ukraińsku”

tekst i zdjęcia

KAROLINA PAWŁOWSKA

Modlą się w cerkwi, tam też biorą ślub, chrzczą dzieci. Duchowny greckokatolicki odmawia modlitwę za dusze ich zmarłych krewnych. Po ukraińsku mówią jednak zwykle tylko w swoich domach.

Mit kurnej chaty

W Koszalinie jest około półtora tysiąca mieszkańców, którzy przyznają się do ukraińskiego pochodzenia, aktywnie uczestniczą w życiu społeczno-kulturalnym mniejszości oraz uczestniczą w nabożeństwach Kościoła Katolickiego Obrządku Bizantyjsko-Ukraińskiego i Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego. Jest też gros ludzi, w których żyłach płynie krew ukraińska, jednak ich kontakt ze środowiskiem jest luźniejszy bądź sporadyczny. – Ale nie ma takich dzieci, które by nie umiały śpiewać ukraińskich piosenek, nie wiedziały, skąd pochodzą, nie słuchały bajek swoich dziadków – mówi dr Jarosław Hryckowian. – Dorastająca młodzież szuka tych korzeni i często wędruje szlakami Karpat i Bieszczad, wraca do wsi swoich dziadków. Niektórzy starają się to zapisywać. Mam całą korespondencję. Z tej korespondencji i rozmów powstała monografia o dwóch wsiach – Berezka i Wola Matiaszowa w powiecie Leskim – „O seredki ukrainsoi doli”. Książka, która ukazała się w 2005 r., jest szczególnie bliska autorowi. To w Woli Matiaszowej w 1947 r. on i jego rodzina zostawili całe swoje życie.

Do końca lat osiemdziesiątych wszelkie oceny akcji „Wi-

śła” brzmiały jednakowo: wysiedlenia ludności ukraińskiej były koniecznością, wynikającą bezpośrednio z morderczych działań band ukraińskiej partyzantki. W dodatku władza polska potraktowała Ukraińców z wyjątkowym humanitaryzmem, przenosząc na tereny bezpieczne i dając w zamian dużo lepsze gospodarstwa i możliwość pokojowej pracy. Podkreśla się w tym kontekście „humanitarny” charakter polskich działań odwetowych, a nawet rzekome dobrodziejstwa przesiedleń. – Niektórzy chcieliby ze mnie zrobić przykład, że dzięki przesiedleniu zdobyłem wykształcenie, skończyłem Uniwersytet Jagielloński, doszedłem do czegoś w życiu. Ale to nie tak – opowiada dr Hryckowian. Kiedy opuszczał Wolę Matiaszową, miał szesnaście lat. Wystarczająco dużo, by rozumieć, że tracą wszystko, na co pracowali dziadek i ojciec. Nie rozumie tych, którzy uważają, że nic takiego się nie stało, bo Ukraińców pozbawiono kurnych, krytych strzechą chat na Łemkowszczyźnie, a dano im murowane domy i urodzajne pola na zachodzie Polski. W wielu przypadkach – jak na przykład rodzina Hryckowianów – zupełnie mija się to z prawdą. – Mój dziadek pracował w Ameryce przez dwadzieścia dwa lata, żeby móc pozwolić sobie na zakup folwarku. Tyle lat czekała na niego moja babcia, żeby kupić dziesięć hektarów ziemi. Jego zięć, a mój ojciec, zasadził sad. Każdą jabłoń, gruszę sam szczepił. Myśmy się tam dobrze mieli. To pierwszy mit, że Ukraińcy tylko na tym skorzystali. Drugi, że zrobiono to, by rozbić UPA.

Odpowiedzialność zbiorowa

Oficjalnie operację wysiedleńczą tłumaczono potrzebą

Sześćdziesiąt lat po akcji „Wisła”

Ukraińska d



DR JAROSŁAW HRYCKOWIAN

jest absolwentem UJ. Ma w dorobku wiele publikacji w języku polskim i ukraińskim. Z podręczników do nauki ukraińskiego jego autorstwa uczą się dzieci w polskich szkołach. Za całokształt pracy 30 kwietnia 2007 r. otrzymał tytuł doktora honoris causa Instytutu Kirowohradzkiego.

zlikwidowania zaplecza ukraińskiej partyzantki. 29 marca 1947 r. Biuro Polityczne KC PPR zdecydowało, by w ramach akcji represyjnej „w szybkim tempie przesiedlić Ukraińców i rodziny mieszkane na terenie odzyskane (przede wszystkim Prusy Północne), nie tworząc zwartych grup”. Jeden z projektów akcji wysiedleńczej z połowy kwietnia 1947 r. rozpoczął się słowami: „Rozwiązać ostatecznie problem ukraiński w Polsce”. Miała to być kara dla banderowców z Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA), mordujących Polaków. Na czele powołanej w kwietniu 1947 r. Grupy Operacyjnej „Wisła”, złożonej z sześciu doborowych dywizji piechoty – łącznie około 17,5 tysiąca żołnierzy – stanął zastępca szefa Sztabu Generalnego WP, gen. Stefan Mossor. Tyle że ukraińskie podziemie liczyło wów-

czas niewiele ponad półtora tysiąca zdemoralizowanych niedobitków. – Według mnie partyzantka i tak nie wytrwałaby dłużej niż do końca lat czterdziestych – zastanawia się Hryckowian. – To się chyliło ku upadkowi. Czy naprawdę, żeby zlikwidować garstkę partyzan-

ola



tów, trzeba było wysiedlić ponad sto tysięcy ludzi?

Wobec ludności ukraińskiej zastosowano niesprawiedliwą zasadę odpowiedzialności zbiorowej. Nie rzeczywista wina, ale już sama przynależność do narodu ukraińskiego była wystarczającą winą, aby wysiedlić na ziemię odzyskane nie tylko tych, którzy współpracowali z nieliczną już wówczas partyzantką ukraińską, ale wiele dziesiątków tysięcy ludzi z Łemkowszczyzny czy Chełmszczyzny, którzy nawet o UPA nie słyszeli.

Ukraińscy bandyci

Dla tych, którzy przeszli gehennę, akcja „Wisła” była formą czystki etnicznej. W wyniku tej operacji z trzech południowo-wschodnich województw deportowano na tzw. ziemię odzyskane prawie 150 tysięcy Ukraińców i Łemków.

Byli ostatnią dużą grupą osadników na ziemiach odzyskanych. W efekcie trafiły im się gospodarstwa najbardziej zdewastowane, a dla części osób w ogóle zabrakło ziemi. Osiedlano ich w województwach szczebińskim, olsztyńskim, koszalińskim, wrocławskim, gdańskim, zielonogórskim i opolskim. Ich liczba w stosunku do mieszkających tam Polaków nie mogła przekraczać 10 procent. W prasie i radiu rozpętano równocześnie zmasowaną nagonkę antyukraińską. – Przesiedlili nas do powiatu bytowskiego. Dookoła sami Kaszubi i autochtoni – opowiada Hryckowian. – A ci, co przyjechali zza Buga, od razu byli nastawieni przeciwko nam. Pamiętam pierwsze spotkanie, pod oknem. Był taki sołtys Rafał – opowiadał, jak to Ukraińcy mordowali, jak rżnęli na Wołyniu. Potem przyszli i rzucali w nasze okna kamieniami. Dla nich byliśmy ukraińskimi bandytami. Mój ojciec znał polski, umiał pisać. Przychodzili do niego, żeby pisać podania i tak stopniowo zmieniała się ich opinia o nas.

Akcja wysiedleńcza miała charakter brutalnej operacji pacyfikacyjnej. Zgodnie z instrukcją, w nocy wojsko otaczało miejscowość przewidzianą do wysiedlenia. O świcie spędzano mieszkańców w jedno miejsce i informowano o wysiedleniu. Ludność miała od kilku do kilkunastu godzin na spakowanie całego mienia. Co można zabrać? Niewiele. Najpotrzebniejsze sprzęty i żywność. Potem kolumnę wysiedleńców pod eskortą wojska kierowano do punktu zbornego, który miał charakter obozu przejściowego, gdzie gromadzono pod gołym niebem po kilka tysięcy ludzi. Po dokonaniu spisów przesiedlanych i aresztowaniu osób uznanych za pode-

rzane, wysiedleńców kierowano do kolejowych punktów załadowniczych. Stamtąd wyruszały konwojowane przez żołnierzy transporty kolejowe na zachód. – Naszą wieś wysiedlali dwa dni później. Byliśmy więc już trochę przygotowani. Gromadziliśmy żywność. Wiedzieliśmy, że w sobotę wysiedlili sąsiednią wieś, to do nas przyjeżdżali w poniedziałek – wspomina Hryckowian. – Mieliśmy jakieś cztery godziny na spakowanie. U nas był tylko jeden koń. Nie bardzo można było go do tego wozu zaprząć. Sąsiad dał drugiego konia. Na ten jeden wóz złożyliśmy majątek dwóch rodzin. U nas w domu była duża biblioteka. Wszystko to trzeba było zostawiać. Ustawili kolumnę furmanek i kazali ruszać w drogę.

„U nas” jest tam

Cała ta kolumna zatrzymała się przy cerkwi. Wszyscy poszli na pobliski cmentarz, żeby się pożegnać. Strzałami zmuszono ich do powrotu na wozy. – Pamiętam, że kiedy wyjeżdżaliśmy ze wsi, zapaliły się dwa ostatnie domy. Jestem przekonany, że to sami mieszkańcy podłożyli ogień. Nikt już tego nie gasił – kontynuuje swoją opowieść. – W nocy, gdy dojechaliśmy do punktu gminnego, jacyś młodzi spłądowali nasze rzeczy. Szukali tego, co cenniejsze. Naszej sąsiadce zabrali krowę. Ze to niby polska krowa, którą wcześniej banderowcy ukradli.

– Nie wiedzieliśmy, gdzie jedyne. Czy na Sybir, czy na Ukrainę. Tego nikt nam nie powiedział – mówi Hryckowian. – Ukraińców wysiedlali już w 1946 r. na Ukrainę. Więc jak słyszeliśmy, że kogoś tam wysiedlają, to szliśmy do lasu, przeczekaliśmy dzień czy dwa. Przychodziło wojsko, widziało, że niko-

go nie ma, więc sobie pojechało. A my wracaliśmy. Wtedy tylko dwie rodziny z naszej wsi wyjechały na Ukrainę. W 1947 r. z Woli Matiaszowej wysiedlono niemal wszystkich. Została tylko jedna rodzina mieszana, polsko-ukraińska, i rodzina rodzącej kobiety.

Dziewięć lat później Jarosław Hryckowian po raz pierwszy pojechał do miejsca, w którym się urodził i spędził dzieciństwo. – Z jednej strony radość. Chodziłymi tymi ścieżkami, które jeszcze wtedy nie zarosły. Wieś była pusta – mówi z widocznym mimo upływu lat wzruszeniem. – Siedziałem w lasku, nad rzeczką. Tu był mój plac, tutaj była studnia. Ten sad, który ojciec sadził, zające zjadły. Tu paliliśmy ognisko na sobótkę. Tu tańczyliśmy. A tutaj zginął Michał Biełanicz, nauczyciel. Miał 22 lata. Należał do partyzantki. Uciekał przed milicją, chciał się dostać do takiego niewielkiego lasku. A oni strzelali do niego z góry. Potem przyszło dwóch i kazali mi wziąć łopatę. Razem z sąsiadem kopaliśmy grób. A na drodze leżał ranny w nogę ten nauczyciel. Dopiero jak wyszli ze wsi, ludzie próbowali go odgrzebać. Za późno.

Kiedy pytam, gdzie jest „u nas”, bez wahania odpowiada – tam. – Pyta mnie jedna pani redaktor, czemu nie wyjechałem na Ukrainę, skoro czuję się Ukraińcem. A ja mówię: a dlaczego? Moja rodzina mieszkała w Polsce od XIV w. – mówi z nutą rozgoryczenia. – Mój ojciec był w polskim wojsku podoficerem, jesteśmy obywatelami tego kraju. Czy to było niesprawiedliwe? Powiedziałbym chyba nieco mocniej. Czuję nienawiść. Nie tyle do Polaków, co do komunistów, do systemu. Teraz, po sześćdziesięciu latach, zastanawia się tylko, czy doczeka zadośćuczynienia. ■

Bractwo Więzienne

Oni się tylko pogubili

Modlitwa, przygotowanie Mszy św., a przede wszystkim rozmowa – w taki sposób od kilku lat członkowie Bractwa Więziennego pomagają więźniom z Koszalina. Za kratkami zdarzają się nawrócenia.

Franciszkanin, o. Ludwik Bartoszak, od lat jest kapelanem koszańskiego Zakładu Karnego i Aresztu Śledczego. Wiele osób w mieście zna postać tego skromnego zakonnika, który niemal codziennie na rowerze pokonuje drogę do więzienia.

Witam mojego brata

Brzęk jednej bramy, brzęk drudgej. Strażnicy więzienni z sympatią witają o. Ludwika. Żartują, że znajdują w więzieniu jakieś łóżko, po co ma się męczyć z dojeżdżaniem. – Witam mojego brata – kapelan podaje rękę jednemu z osadzonych. Przyznaje, że w więzieniach przebywają bardzo różni ludzie. Są niebezpieczni, ale są i tacy, którzy za kratami przeżywają przemianę. – Ta służba daje mi wielką wewnętrzną radość – mówi zakonnik. – Gdybym kiedyś miał wyjechać z Koszalina, bardzo by mi tego brakowało. Przez kilka lat w sprawowaniu liturgii, czytaniach Pisma Świętego, modlitwach i rozmowach z więźniami wspierali go klerycy z koszańskiego seminarium duchownego. Bezhabitowe siostry, które pracują w seminarium, pomagały w przygotowaniu niedzielnych Mszy św. Kiedy alumni i zakonnice nie mogli już przychodzić do aresztu i więzienia, kapelan dowiedział się o istnieniu Bractwa Więziennego. Postanowił powołać je w Koszalinie. Na początku zgłosiły się cztery osoby. Z czasem wolontariuszy przybywało. – Dział bractwo liczy już 26 osób – tłumaczy o. Ludwik i podkreśla, że jest wśród nich pięciu prawników i jeden chirurg. – Prawie wszyscy mają wyższe wykształcenie – dodaje z dumą. Wolontariusze zajmują się działal-



ARCHIWUM AGNIESZKI OLEKSY

nością charytatywną, pomagają osadzonym w załatwianiu spraw urzędowych. Przede wszystkim jednak wspierają kapelana w pracy duszpastersko-pedagogicznej.

Widzieć człowieka

Agnieszka Oleksy jeszcze w czasie studiów prawniczych w Warszawie natknęła się na informację o Bractwie Więziennym. Odnalazła w stolicy jego centralę i tam dowiedziała się, że w jej rodzinnym Koszalinie właśnie powstaje oddział bractwa. – Po studiach wróciłam do domu i postanowiłam zaangażować się w jego działalność – relacjonuje. Zaangażowała się tak bardzo, że kiedy w lutym 2006 r. sąd zarejestrował koszański oddział, została jego szefową (jest najmłodszym w kraju kierownikiem oddziału). Kiedy spotyka się z więźniami na modlitwie lub rozmowie, nie pyta, za co siedzą. – Chcę widzieć w nich człowieka, a nie tylko osadzonego – przyznaje. – Trzeba wierzyć w to, że w tych ludziach jest dużo dobra, tylko są zagubieni i potrzebują pomocy. Są jednak sztywne zasady (określa je m.in. regulamin świeckiego ewangelizatora). – Musimy pamiętać, że jesteśmy po to, by głosić słowo Boże i się modlić. Nie możemy przekazywać osadzonym korespondencji albo w inny sposób pomagać

Uczestnicy konferencji w Toronto wystąpili w strojach narodowych. Agnieszka Oleksy (druga z lewej) zaprezentowała polski strój ludowy

kontaktować się ze światem zewnętrznym. Bywają jednak sytuacje wyjątkowe. – Jeden ze skazanych poprosił, żebym zadzwoniła do jego żony. Zalił się, że przestała go odwiedzać i odkłada słuchawkę, kiedy do niej telefonuje – relacjonuje Agnieszka Oleksy. Długo zwlekła z tym telefonem. – W końcu się przełamalam. Porozmawiałam sobie jak kobieta z kobietą. Powiedziała, że wcale nie jest tak, jak mówi jej mąż: musi sobie wiele rzeczy poukładać i przemyśleć. Po kilku dniach skontaktowali się ze sobą. – Bractwo jest dla mnie ogromną pomocą – raduje się o. Ludwik. – Jeśli więźniowie mają kłopoty rodzinne, często wolą porozmawiać z wolontariuszami niż z księdzem. Wychodzą z założenia, że człowiek, który ma żonę, lepiej ich zrozumie.

Niedawno Agnieszka Oleksy spotkała duże wyróżnienie: stowarzyszenie wydelegowało ją na odbywającą się co cztery lata w Kanadzie Konferencję Bractwa Więziennego. Przyjechało ponad tysiąc osób, w tym sześć z Polski. – Wszystkie homilie i wykłady nawiązywały do hasła przewodniego „Tam, gdzie spotyka się miłość i sprawiedliwość”. Dużo było mowy o wolności, szczególnie wewnętrznej – wolności od zła i nienawiści. Mówił o niej ważny gość konferencji o. Raniero Can-

talamessa (włoski kapucyn, długoletni Kaznodzieja Domu Papieskiego przy Janie Pawle II, a obecnie przy Benedykcie XVI). Przede wszystkim jednak członkowie Bractwa opowiadali o sytuacji osadzonych w różnych rejonach świata. W niektórych krajach są jeszcze więźniowie polityczni, a na sporym obszarze USA obowiązuje kara śmierci. Wszystkim tym ludziom wolontariusze starają się nieść Dobrą Nowinę i mówić o Bogu. – Dla mnie dużym zaskoczeniem było to, że w państwach, w których obowiązują surowe rygory więzienne – w Pakistanie, Indiach, Chinach, Libanie, w krajach afrykańskich – bractwo jest jedyną instytucją, której władze pozwalają na kontakt z osadzonymi – przyznaje Agnieszka Oleksy. – Często niosą pomoc także rodzinom osadzonych, bo one również są wyrzucane poza nawias. Konferencji towarzyszyła wystawa prac więźniów. Agnieszka Oleksy zawiozła do Toronto wykonane przez więźniów z Koszalina grafiki, szkice i wiatraki z zapalek. Wyróżnienie zdobył autor jednego ze szkiców.

JAROSŁAW JURKIEWICZ

POMAGAJĄ WIĘZIOM

Stowarzyszenie Ewangelicznej Pomocy Więźniom „Bractwo Więzienne” jest organizacją o międzynarodowych strukturach. Wywodzi się z powstałego w USA Prison Fellowships International. Ma chrześcijański charakter. W Polsce Bractwo Więzienne działa od 1993 roku, a inicjatorem jego powstania był pierwszy kapelan więziennictwa, ks. dr Jan Sikorski. Skupia ponad 700 wolontariuszy. Oprócz Koszalina jego oddziały są w Bydgoszczy, Krakowie, Lublinie, Poznaniu (Wronki), Wrocławiu i Szczecinie.

Warto remontować stare kościoły

Zapomniane skarby

Kościół w Laskach Wałęckich to jeden z najstarszych zachowanych na terenie Pomorza Zachodniego zabytków, wznoszonych w konstrukcji szkieletowej.

Został zbudowany w XVII wieku jako ewangelicki i jako taki służył mieszkańcom do końca II wojny światowej.

Stodoła w kościele

W latach powojennych mieszkający w pobliżu Jan Borkowski zaczął użytkować świątynię jako własną stodołę, wybijając w ścianie wschodniej budynku otwór na wrota. W połowie lat pięćdziesiątych, staraniem proboszcza, ks. Tadeusza Jaskiewicza, przywrócono świątyni jej właściwą rolę, a 14 lipca 1957 r. odbyło się jej poświęcenie. Kościół wymagał remontu, tym bardziej że miała się tu odbyć Msza prymicyjna ks. Tadeusza Żebrowskiego, pochodzącego z tej miejscowości.

Po czterdziestu latach konieczny okazał się kolejny gruntowny remont. – Tak te Laski kochane wyglądały przed remontem – ks. Stanisław Meslin, proboszcz parafii Rudki, do której należą Laski, pokazuje zdjęcia. – Stan kościoła tak się pogorszył, że nie można by-

ło już w nim odprawiać Mszy św. Po każdej wichurze zastanawiałem się, czy ten kościół jeszcze stoi. Budynek chylił się ku upadkowi w dosłownym tego słowa znaczeniu. Ściana szczytowa musiała zostać podparta drewnianymi belkami. – Zajął się tym dr Andrzej Olszewski z Wałcza – uśmiecha się ks. Meslin. – Leczy nie tylko ludzi, ale i kościoły.

Pora na ratowanie kościoła była już najwyższa. Ściany fundamentu były w dużym stopniu zniszczone, z wypłukaną, zmurzałą zaprawą i ubytkami w materiale. Kamienie słabo ze sobą powiązane ulegały przemieszczeniu, powodując osiadanie i deformacje ścian i posadzki przy ścianach. Okres trwałości fundamentów tego typu wynosi 200 lat, a kościół w Laskach Wałęckich jest już znacznie starszy. Inne czynniki, jak pewne błędy popełnione jeszcze w czasie wznoszenia kościoła, warunki atmosferyczne, zawilgocecie obiektu, dopełniły dzieła zniszczenia.

W Laskach i Lipiu, których mieszkańcy uczęszczają do tego kościoła, mieszka siedemnaście rodzin. Sfinansowanie przez nich remontu, nawet częściowe, było oczywiście niemożliwe. Rozpoczęło się żmudne

wysyłanie próśb, podań i wniosków.

Nie wierzyli, że się uda

– Na remont każdej ściany potrzeba było osobnego pozwolenia – wspomina proboszcz. Dopiero w 2004 r. Zachodniopomorski Konserwator Zabytków wydał opinię, że prace remontowe przy konstrukcji budynku należy rozpocząć w trybie natychmiastowym. Parafia otrzymała dofinansowanie z Funduszu Kościelnego przy Departamencie Wyznań MSWiA, Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków w Szczecinie. Remont wsparła też finansowo kuria biskupia w Koszalinie. Urząd Gminy Wałcz postanowił sfinansować stolarkę okienną i drzwiową, Agencja Nieruchomości Rolnej przekazała drewno z rozbiórki, później cegły. Pomogła też zaprzyjaźniona z mieszkań-

cami Lipia rodzina Holendrów. – Takiego remontu jeszcze nie prowadziłem – opowiada Zbigniew Borejszo, właściciel firmy remontującej kościół. – To bardzo interesujące zadanie ze względu na niezwykłość rozwiązań technicznych. Na przykład trzeba było zająć się częściowo pracą od środka, zachowując dach. Wymie-

nialiśmy ściany, które są konstrukcji szkieletowej, wypełnionej cegłą. Cegłę uzyskaliśmy od Agencji Nieruchomości Rolnych Jednostki Gospodarczej Zasobu w Wałczu, której kierownik, Andrzej Kasiński, zaproponował rozbiórkę spalonej stodoły w Marcinkowicach w zamian za cegłę porozbiórkową. Chodziło o to, aby to była cegła, jaka była używana mniej więcej w okresie powstania kościoła.

Wszystko odbywało się pod pełną kontrolą konserwatorską. Wymieniono każdą z ścian po kolei, zrobiono stolarkę okienną. – Chętnie prowadzilibyśmy dalej prace – mówi Kasiński. – Trzeba jeszcze popracować nad dzwonnica i zmienić dach, ale teraz mamy przerwę. Ksiądz proboszcz nie chce, abyśmy pracowali, dopóki nie jest w stanie tego opłacić. Potrzebne jest jeszcze około 100 tys. złotych. Kościół w Laskach czeka na dofinansowanie lub życzliwych sponsorów. – W prowadzeniu remontu bardzo pomogła nam decyzja wójta Piotra Świdarskiego o udostępnieniu świetlicy, w której mogą odprawiać Msze św. – dodaje ks. Stanisław Meslin. – Jesteśmy mu za to bardzo wdzięczni, bo wójt nie tylko zgodził się na wykorzystanie tutejszej świetlicy, ale zlecił jej naprawę i odmalowanie. Chwała mu za to.

BEATA STANKIEWICZ

Z lewej: Tak wyglądał kościół przed remontem. Ściana szczytowa groziła zawaleniem i musiano ją podprzeć drewnianymi belkami
Z prawej: Kościół w Laskach po remoncie



ZDJĘCIA BEATA STANKIEWICZ



PANORAMA PARAFII

Panorama parafii. Pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa w Kobylnicy

Spotykam życzliwych ludzi

Kobylnicę łatwo przeoczyć, choć to duża wieś, w dodatku położona przy jednej z krajowych dróg.

Zwłaszcza gdy jedzie się tędy po raz pierwszy, trudno się zorientować, gdzie kończy się Słupsk, a gdzie zaczyna Kobylnica.

Prawa ręka proboszcza

Ponad dachy domów wybijają się miejscowe kościoły. Stoi tu od średniowiecza. Jednak ze starej, ponorbertańskiej świątyni zachowała się tylko gotycka wieża frontowa. Od początku służyła ona społeczności katolickiej. Dopiero w latach trzydziestych XVI w. na ziemi słupskiej wprowadzono administrację kościelną zwaną konsystorzem, a więc luterańską.

Na plebanię po drugiej stronie ulicy trafiam już bezbłędnie, prowadzona przez skoczne rytmy i rozbawione dzieciaki. To uczestnicy półkolonii. Wakacyjny wypoczynek dla dzieci z najuboższych rodzin przygotowują panie z miejscowego stowarzyszenia „Wiejskie Klimaty” oraz współpracownicy salezjańscy. Bo od ponad pół wieku duszpasterską opiekę nad parafią sprawują księża salezjanie. Zgodnie z charakterem swojego zgromadzenia, starają się dotrzeć do jak największej liczby dzieci i młodzieży, zwłaszcza tej, która jest daleko od Kościoła. Współpracownicy salezjańscy to, jak



ZDJĘCIA KAROLINA PAWŁOWSKA

mówi proboszcz ks. Eugeniusz Łodyka, jego prawa ręka. – To małżonkowie i studenci – wyjaśnia duszpasterz. – W tej chwili to grupa 15-osobowa, włączająca się w prace parafialne, szczególnie w spotkania przygotowujące młodzież do bierzmowania. Część z nich wyrosła z istniejącej od wielu lat młodzieżowej oazy. Obecnie prowadzona jest ona przez ks. Ryszarda Świrydzia. Nie brakuje także dziecięcej scholi, którą prowadzi Ania Roszczewska i Mirek Sochaczewski. O obecność najmłodszych we wspólnocie dba także katecheta Katarzyna Kucharska. Przy czterech kościołach parafii jest siedemdziesięciu ministrantów, którymi opiekuje się ks. Marcin Balawander.

Panowie, do Różańca!

Salezjanie rozwijają w swoich parafiach szczególny kult Matki Boskiej Wspomożycielki Wier-

nych. Także w Kobylnicy 24. dnia każdego miesiąca odprawiane jest nabożeństwo ku Jej czci. Zapraszane są na nie zwłaszcza dzieci przygotowujące się do I Komunii św. i ich rodzice. Ostatniego dnia miesiąca wierni spotykają się na nabożeństwie ku czci św. Jana Bosko, połączonego z wystawieniem relikwii świętego.

Modlitewnym zapleczem jest Żywy Różaniec. Proboszcz martwi się tylko, że modlitwa różańcowa nie znajduje uznania wśród mężczyzn. – W mojej rodzinnej parafii jednego roku udało się stworzyć kilka róż męskich i siedem róż młodzieży męskiej – wspomina ks. Eugeniusz. – Pamiętam, jak każda wieś miała ambicję, by młodzież męska należała do Żywego Różańca. Tu jakoś to się nie przyjmuje. Od roku wspólnota modli się również gorąco o powołanie kapłańskie, którego nie było w Kobylnicy od siedemnastu lat.

KAROLINA PAWŁOWSKA



KS. EUGENIUSZ ŁODYKA SDB

pochodzi z Różanego Stoku. Wyświęcony w Łądzie w 1973 r. Pracował w Rumi, Szczecinie, Kawnicach k. Konina, cztery lata jako misjonarz ludowy, a następnie za granicą. Jest proboszczem w Kobylnicy od 1 lipca 2005 r.

W maju 1950 r. obowiązki duszpasterskie w Kobylnicy przejął pierwszy salezjanin, ks. Franciszek Krajewski

ZDANIEM PROBOSZCZA

Parafia jest obliczem Kościoła, jakie ludzie spotykają blisko swojego domu. Jest wspólnotą wiernych, która dzieli ze wszystkimi życie i obowiązki, starając się być świadkami i zaczynem królestwa. Stąd zadaniem proboszcza i współpracowników jest rozwijać w parafii głębokie życie duchowe, oparte na Słowie, sakramentach Eucharystii i pojednania i na nabożeństwie do Matki Bożej. Ci, którzy przyjechali tu po wojnie, bardziej czują się związani z Kościołem. Nowi osadnicy, którzy budują się teraz na terenie parafii, w większości są dla nas anonimowi. Są domy, których mieszkańców nie znamy. Może się to zmienić, kiedy trochę tu pomieszkają, ale w tej chwili problemem jest, jak do nich dotrzeć, bo nie spotykamy się nawet w czasie wizyty kolędowej. Minęły dwa lata, odkąd jestem proboszczem tej parafii. Spotykam jednak coraz więcej życzliwych ludzi. Wierzę, że przy pomocy parafian i tych życzliwych ludzi – wójta gminy i jego Rady, rozpocznę remont kościoła filialnego w Sierakowie, wieży kościoła parafialnego i wiele innych ważnych zadań, które nie są prywatną sprawą proboszcza, ale całej parafii.

Zapraszamy na Msze św.

- W niedzielę: w Kobylnicy 7.15, 9.00, 10.30, 12.00 i 18.00, w Bolesławicach o 12.00, w Łosinie o 9.00, w Sierakowie o 10.30 i 15.00
- W dni powszednie: w Kobylnicy o 18.00